

„Najlepsza książka na jesień 2010 portalu Granice.pl”  
nominacja



# ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

Wspomnienia mogą zabijać

Aleksander Sowa

**ERA**  
**WODNIKA**

Opole 2011

2

## 1.

Koniec często przychodzi nieoczekiwanie. Dla bezdomnego otwierającego usta, by w pijackim amoku przywołać kompana, tak właśnie było. Ogień życia tylko migotał i nie było szans, że zapłonie jasnym ogniem.

Zirytowany nieobecnością towarzysza postanowił go odnaleźć. Podniósł się z połamanej wersalki. Zamiast jednak kroku w przód, opadł bezsilny na zdezelowany mebel. Tak zakończyła się ta ekspedycja. Chwilę potem, jego ciało wygiął nagły spazm. Z gardła wydobył się jeszcze charkot, niczym rezonans uwięzłych w krtani nieustannie latających pszczół. Potem głos z czeluści robaczywego ciała ucichł.

Tymczasem, gdzieś dalej na pozór identyczny, jak ofiara konwulsji, drugi człowiek w łachmanach wciąż nie wracał. Też spotkał go koniec. Według innego, bardziej przerażającego i makabrycznego scenariusza.

## 2.

Siedział we wnętrzu radiowozu w bezruchu. Był mężczyzną szarym, jakich wielu spotykamy na ulicach co dzień. Są tylko zwykli.

Tkwil na przednim siedzeniu, beczynn timer patrząc na plac Daszyńskiego przez szybę. To doskonale miejsce, aby przyjść karmić gołębie albo wieczorem całować

i pieścić się w ciemnościach jak gimnazjaliści – myślał w ciszy.

Plac nazywany był po wojnie placem Thälmana. Albo, co zastanawiające, choć tylko dla obcych w mieście, placem Pedala. Tu spotykali się wszyscy. Ochrzczono go tak z powodu przesiadujących bezdomnych, pijaków i dziwek najpodlejszego sortu.

– Komisarzu Stompor, zgłoście się! – trzask w radiotelefonie przerwał rozmyślenia Emila.

– Jestem!

– Za pięć minut będziemy. Jak to wygląda?

– To trzeba zobaczyć.

– Miejmy nadzieję, że warto było się zrywać z łóżka. Bez odbioru.

– Zrozumiałem! Bez odbioru.

Niemal równocześnie otworzył drzwi radiowozu. Wiedział, że zachował się jak pies. Pan wydał komendę „waruj” i wykonał ją bez namysłu. To było jego powołanie. Sens życia, przeznaczenie i fatum czy chciał, czy nie. Los nie pozostawił wyboru. Czasem musiał aporutować, by biegać bez łańcucha.

Dzięki niepozorności, mógłby z nożem w dłoni wejść do oddziału największego banku w centrum i zrabować okrągłą sumkę. Po czym wyjść z łupem i nikt nie potrafiłby podać jego rysopisu. On jednak, zamiast skutecznie i z finezją rabować banki, został gliną.

Dobrym glina, nawet bardzo dobrym. I choć praca w pionie kryminalnym była jedną z najbardziej podłych i niewdzięcznych w fabryce, ją właśnie lubił najbardziej. Był bardzo skuteczny, a mimo tego nie awansował. Być może wpływ na to miała niewidzialność, doprawdy możliwe. Bardziej prawdopodobne, że powodem był brak układów.

Niewielu Emila lubiło. Nie nawiązywał bliższych znajomości. Był odludkiem, typem samotnika, który nie miewa przyjaciół. Samotny, sfrustrowany i zgorzkniały, już nie najmłodszy czuł, że życie przeciekło mu między palcami.

Myśląc o tym, wyjął paczkę z dwudziestoma małymi wrogami. Przez zapaleniem camela powąchał go, przykładając równolegle do wąsa. Papieros miał piękny, dziewiczy zapach. Lubił go, bo był to zapach jedynych marzeń w gównianym, szarym życiu. Przywodził na myśl gorące i suche wnętrza knajp portowych, egzotycznie pachnących przygodą, orientalną urodą pięknych kobiet i nieprzebytymi przestrzeniami.

Zapalił i marzenia prysły niczym tytoniowy zapach z zapalonego cichego mordercy. Płomień zapalniczki oświetlił na moment zmęczoną życiem twarz i Emil wydał się kilka lat starszy.

– Muszę rzucić, mam dość – mruknął niby do siebie, a niby do tych, co razem z nim dzielili podłą pogodę.

– Paskudny nałóg – odezwał się jeden z posterunkowych. – Emil jednak nie odpowiedział, nie spojrział nawet. Zaciągnął się tylko i omiółł bystrym wzrokiem plac.

Równy prostokąt na sto kilkadziesiąt metrów długości i szerokość około pięćdziesięciu, z krótszej strony oszpecony był postsocjalistycznym, siermiężnym, miejskim szaletem. Nie spełniając postawionego kiedyś zadania, był meliną bezdomnych. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nic nie robił. Bo i po co? Aż do dziś.

Wstępnie wszystko zabezpieczył, a konkretnie posterunkowi, których wezwał. Ogrodzili wejście do szaletu taśmami i teraz czekali razem z nim w nieprzemakalnych płaszczach.

– Informacji udziela się tylko w razie konieczności – odburknął zagajony przez jednego z nich. Tylko jeden z nich wiedział, co piszczy w trawie. Stał w milczeniu pouczony przez Emila bez ceregieli:

– Spróbuj coś komuś powiedzieć, to będziesz do usranej emerytury glancował krawężniki. Jasne?

– Jak słońce, panie komisarzu.

– Jak słońce – powtórzył i dodał – cieszę się, że mnie rozumiesz.

Papieros dopalał się, kiedy względną ciszę prze-rwał dźwięk silnika czarnej lancy z przyczepianym na magnes do dachu kogutem. Z wnętrza wysiadło dwóch cywili. Posterunkowi natychmiast się wyprostowali.

– Przykro mi, że mamy taką porę.

– Nie wkurwiał mnie bardziej! – usłyszał – i niech cię Pan ma w opiece, jeśli nie będzie to sprawa warta tej pory – odezwał się szef Emila, Boss. Drugi z cywili, Lipski, był prokuratorem. Obaj, oprócz tego, że byli spowici pajęczyną powiązań służbowych, byli rdzeniem klikki towarzyskiej, znali się bowiem prywatnie.

– Mów – usłyszał od Bossa.

– Mamy dwa trupy.

– Uhm. – Lipski pokiwał głową z zainteresowaniem i udawaną troską w spojrzeniu. – Mów dalej.

– To bezdomni, zbierają się czasem tutaj. Niezbyt często, bo w sumie nie ma po co, skoro dworzec mają bliżej. Tam jest cieplej i zawsze mogą coś wyzebrać – wyliczał.

– Gównu mnie to obchodzi! Mów co z nimi!

– Właśnie – Lipski zawtórował Bossowi jak echo.

– Więc bez sensu, żeby tutaj mieli ciągle przychodzić – kontynuował niezrażony ich odzywkami policjant.

– Jasne, jasne – mruknęli obaj, po czym Boss rzeczowo dał głos.

– Zapili się na śmierć?.

– Rzeczywiście pili... – mruknął Emil.

– Ja pierdolę! Ale gówno! Mówcie, bo nie wiem o co chodzi! Po cholere wzywacie mnie w środku nocy – histeryzował prokurator – do jakiś zasrańców, co zachlewają się na śmierć!? Nie można tego, kurwa, było załatwić w jakiś bardziej cywilizowany sposób? Nie mogliście na przykład znaleźć ich o siódmej, zamiast o trzeciej w nocy!?

Jeśli Emil mógłby, powiedziałby, że nie robią na nim wrażenia znaki interpunkcyjne, których używa oraz, że ma bardzo, bardzo głęboko gdzieś krzyki. Eryk Lipski był prokuratorem i jest jak dupa od srania, aby tu, w takiej chwili, przyjechać. Nabral powietrza w płuca i na głębokim wydechu wyluszczał, co wie:

– Po pierwsze, zauważyliśmy, że w ścianie jest wybite przejście do schronu.

– Do jakiego schronu? – Lipski zniecierpliwiał się znów. Po czym dodał zdziwiony do komendanta: – O czym on mówi?

– To nie wiesz?

– Nie wiesz, nie wiesz? – przedrzeźniał Bossa – Co nie wiem, do chujal!? No nie wiem! Nie wiem – wrzeszczał rozwścieczony. – Nic, kurwa, o żadnym gównianym schronie nie wiem! Jest czwarta nad ranem! Jakbym wiedział, pewnie był się głupkowato nie pytał? Nie?

Emil patrzył z politowaniem. Czuł obrzydzenie do tego dupka. Chwilę później odezwał się.

– Nawet nie wie pan, ile w tym jest racji.

– Co?

– Pod placem jest schron.

– Nigdy bym nie przypuszczał – Lipski szepnął zdziwiony.

– Bo młody jesteś jeszcze – wtrącił się komendant.

Emil dodałby jeszcze – i głupi – gdyby mógł. Ale nie mógł. Komendant tymczasem nie przerywał wywodu. – I nie pamiętasz czasów zaraz po wojnie – zauważył rzeczowo.

– Jest ponemiecki – Emil ciągnął dalej. – Zbudowany, kiedy tu – skinieniem głowy wskazał plac – był faszystowski Friedriechsplatz.

– Przeciwlotniczy?

– I przeciwgazowy.

– Ech... Ci faszyci tak samo dokładni jak teraz. Precyzyjni i na wszystko przygotowani – konkludował prokurator.

– Chuja dokładni! – Komendant wtrącił się w pół zdania. – Mój Mercedes się ciągle pierdoli – rzucił zniesmaczony.

Lipski, ignorując uwagę, zwrócił się do Emila.

– Dlaczego nie został zburzony po wojnie?

– Pewnie w PR-u mieli nadzieję, że się przyda.

– Pierdole taką nadzieję. Dobra, dawaj dalej – mruknął zachęcająco.

– W bunkrze jest trup.

– Trup? – zrobił zdziwioną minę. – Miały być przecież dwa?

– Są dwa.

– Nie rozumiem. O chuj chodzi? To jeden czy dwa? Mówiłeś, że dwa. – Lipski wypomnił Bossakowskiemu. – O on mówi, że jeden. To ile?

– Drugi jest w szalecie – Emil dorzucił.

Po czym bez słowa obejrzał się, rzuciwszy okiem na zdewastowany szalet. Otworzył usta, po czym zamknął, jakby rezygnując. Zamiast odpowiedzi zaprosił obu gestem ręki do samochodu.

– Wejdziemy i dokończę.

– Świetna myśl! – ochoczo zgodził się Lipski, zapewne mając nadzieję, że dzięki temu szybciej będzie mógł załatwić sprawę.

Komendant tylko potakująco kiwnął głową.

Durnie – myślał Emil – ale niech im będzie. Otworzył drzwi niebieskiego volkswagena. Wewnątrz leżały latarki i przeciwdeszczowe płaszcze z napisami na plecach „Policja”. Podał każdemu po jednym, a potem dołożył po latarce.

– Więc idziemy.

– Co jeszcze wiesz? – Lipski nie dawał za wygraną, zachęcając Emila.

– W sumie niewiele – odparł. – Byłem tam raz. Wszedłem na parę metrów. Wierzcie, to nie jest przy-

jemne. Zresztą, co można powiedzieć po takiej wizycie? Trzeba będzie całej ekipy, techników, fotografa, sekcji, badań laboratoryjnych. Od wodociągów musimy wziąć dokładne plany tej nory.

– Po co?

– Zaraz pan zobaczy.

Wszyscy trzej, kierując się w stronę ogrodzonego taśmami wejścia do schronu, zatopili się na chwilę w myślach.

– Wdepnęliśmy w niezłe gówno – Emil przerwał milczenie. – Jeden z młodych był tam ze mną. On to odkrył, więc proponuję, żeby poszedł z nami.

– Dawaj go! – ucieszył się Lipski. – Opierdolę go, czemu znalazł ich w środku nocy.

Przechodzący przez plac spiesznym krokiem do pracy albo wracający z nocnej zmiany ludzie, z zaciekawieniem zwalniali kroku. Powoli i nieśpiesznie z przepicia zaczął budzić się kolejny, jesienny poniedziałek, wciąż mając jeszcze na powiekach ciepły sen.

### 3.

Pokój na trzecim piętrze wypełniała hipnotyczna cisza. Kobieta spała najlepszym, porannym snem. Śniła. Nagle dzwonek leżącego obok łóżka Ericssona bezli-  
tośnie zabrzączał.

– No jasne, a któż by inny! – mruknęła zaspana, naciskając guziczek z zieloną słuchawką. – Gosia, słucham?

– To ja. Przepraszam, że cię budzę, ale też już od pół godziny nie śpię.

– Naprawdę musiałeś mnie obudzić? – zapytała z wyrzutem.

Miała piękny, aksamitny głos. Nawet jeśli przebiła z niego złość.

– Przepraszam, ale niestety tak. Nie jesteś sama?

– A co to ma do rzeczy? Co to za pytanie? W ogóle co cię to...

– Przepraszam, wiem. Nie powinienem pytać – uciał.

– Nie powinieneś.

– Przepraszam, tak jakoś wyszło.

– Tak jakoś wyszło, wyszło... Czemu mnie obudziles?

– Musiałem.

– Nieprawda, nie musiałeś – zaprotestowała. – Chciałeś.

– Daj już spokój, przecież i tak nie śpisz.

– Zawsze to robisz – nie mogła pogodzić się z pobudką. – Zawsze to robisz – powtórzyła. – Zawsze, odkąd cię znam.

– To chyba mój urok?

– Urok... Niech cię diabli z takim urokiem. I która w ogóle jest godzina? – Zadając pytanie, spojrzała na zegar.

Mała wskazówka pokazywała czwartą. Duża zatrzymała się na cyfrze dwa. Jednym z sekretów jej głosu nie była nieokreślona częstotliwość czy pełnia emocji, jakie uważny słuchacz wychwytywał. Wszystko łączyło się w jednolitą, nierozzerwalną całość. I dzięki temu dostała tę pracę. A kobiecie bez koneksji, bez doświadczenia w zawodzie, po czterdziestce trudno zaczynać nowe, zawodowe życie. Jej się udało. Mimo wieku, szybko wspinała się po szczeblach kariery. Jako samotna kobieta poświęcała się pracy bez reszty. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że jej rozgłośnia była w powiatach. Wszyscy w radiu O'Key zaczynali. Kilka osób i obskurnych pokoików – to było całe ich radio. Było jej pasją. Pewnego dnia postanowiła rozpocząć życie od nowa. Odkąd zmieniła życie, był to jej sens.

– Jest dziesięć po czwartej.

– No widzę – odparła z irytacją. Po czym dodała: – Nie drażnij mnie bardziej.

– Przecież zapytałaś.

Już się dobudziła. Choć dla niej była to jeszcze głęboka noc, a nic nie wyprowadzało z równowagi tak skutecznie, jak telefon o skandalicznej porze. Tym bardziej, że zwykle niósł poważniejsze perturbacje niż koniec snu.

– Słuchaj, musisz gdzieś jechać.

– Mniemam, że masz coś naprawdę ważnego. Lepiej dla ciebie, aby tak było. W przeciwnym razie zapiszesz się do kroniki policyjnej jako ofiara.

– Wierz mi, zaraz nie wypijesz nawet kawy do końca – rzekł naczelny. Zaskoczył ją. Tylko trochę, bo choć wciąż zła, zdawała sobie przecież sprawę, że musiał mieć naprawdę ważny powód, by ją obudzić. Pracowali ze sobą na tyle długo, aby dobrze się poznać.

– Co stało się tak wielkiego, że trzeba budzić zwykłą dziennikarkę przed czwartą w poniedziałek?

– Psy... a dla ścisłości obudziłem cię po czwartej, a nie przed. – Pierwsze słowo podziało na jej wyobraźnię. Dalsze, tylko rozzłościły. Zignorowała je.

– No... mów.

– Niby zwykle, w mundurach ale... Jest ich aż kilka radiowozów.

– Gdzie?

– Na placu Pedala. Tam, gdzie jest szalet, nadążasz?

– Nie drażnij mnie – syknęła.

Jasne, że nadążała. Obudziła się przecież. Opole znalazła jak własną kieszeń. Oprócz tego, że Stwórca obdarzył ją nieprzeciętną urodą, była także inteligentna, zaradna i samodzielna. – Dlaczego się tam zjechali?

– Czegoś szukają.

– Myślę, że nie. W odróżnieniu od ciebie, znają na to lepsze pory. Coś się tam musiało wydarzyć.

– No właśnie nie wiem. Ty się dowiesz.

– Tylko tyle?

– Mało?

– Tak.

– Pewnie będzie więcej.

– W porządku. Niech ci będzie. Ale powiedz, czy to naprawdę jest aż takie ważne? Psy na placu Pedala, w nocy? Nie można było poczekać z tym do ósmej?

– To będzie grubsza draka.

– Więc nie powiedziałeś mi wszystkiego. Skąd wiesz?

– Bo dzwoniła do mnie jakaś kobieta. Też mnie obudziła. Mówiła, że szła z nocnej zmiany i widziała trzy radiowozy. Szalet jest podobno ogrodzony taśmą.

– Taśmą?

– Tak – odparł.

To już coś – pomyślała. Policja stosuje taśmę, kiedy dzieje się coś poważnego: napad z bronią, wypadek śmiertelny, samobójstwo albo morderstwo.

– To nie wszystko.

– No?

– Podobno widziała tam też czarną lanię.

– Uhm – mruknęła z zadowoleniem.

A zatem jest prokurator. To potwierdza wersję z trupami. To już coś. Szybko przeanalizowała sytuację i podjęła decyzję.

– Może upiecze ci się tym razem. Jadę. Zobaczę.

– Grzeczna dziewczynka. Dzięki. Cześć.

– Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne są wyspane. Wolalabym się wyspać niż być w niebie, wiesz?

W odpowiedzi usłyszała jednak tylko sygnał zakończonej rozmowy. Założyła błękitną, koronkową bieliznę, rajstopy i podreptała do kuchni. Wsypała łyżeczkę mocnej, jak amfetamina, kawy do ulubionego kubka. Myśli zaprzętała teraz obietnica materiału na poranny news. Chwilę potem przekręciła klucz w drzwiach.

Z samochodowych głośników popłynęły rytmy remiksu „4 O'Clock In The Morning”.

– Nomen omen – mruknęła i mocniej wcisnęła gaz. Ten dzień miał wiele zmienić w życiu wielu ludzi. Także jej. Rozpoczynała się nowa era: Era Wodnika.

#### 4.

Emil zrobił zdecydowany ruch dłonią, przywołując stojącego przed wejściem do szaletu posterunkowego.

– On nas poprowadzi – wskazał chłopaka w mundurze, po czym go przedstawił. – Maciej Wilk.

– W porządku. Lipski, witam! Ty to znalazłeś?

– Tak.

– Zatem, posterunkowy Wilk, macie u mnie prze-  
rąbane.

Wszyscy się uśmiechnęli. Ostrożnie weszli do szaletu. Piłśniowe drzwi zwisały wylamane. Wyważone pewnie kopniakiem – Emil pomyślał o tym natychmiast, przechodząc do rzeczy.

– Na pewno został odcisk buta.

– Z pewnością – odrzekł Lipski zdziwiony. Sam nie wpadłby na to. Zapalili latarki. Blask krzyżujących się świateł obmacujących ściany oświetlił częściowo ciemne, zdewastowane wnętrze.

– Mów! – Lipski zachęcił posterunkowego.

– Zaczepił mnie żul na patrolu pod dworcem i powiedział, że w szalecie na placu Pedala leżą sztywni kumple i że ktoś ich załatwił.

– Załatwił?

– Tak powiedział. No to poszłem sprawdzić.

Lipski słuchał. Nawet nie bardzo poraził prokuratora błąd językowy młodego policjanta. Bardziej interesował się, o czym mówi, niż jak to robi.

– O rzeczywiście był tu ten z wersalki – wtrącił się Emil.

– Z jakiej wersalki?

– Tu jest wersalka. – Wskazał Lipskiemu latarką stary mebel.

– Aha.

Prokurator skupił się na słowach policjanta, nie dostrzegając otoczenia. Tymczasem martwy mężczyzna leżał na połamanym meblu. Wszyscy czterej skierowali światła latarek na zwłoki.

– To ten pierwszy – rzekł posterunkowy.

– A więc tutaj pili – Lipski zaczął oceniać sytuację.

Emil spojrział na prokuratora. W jego głosie nie było nawet cienia podniecania, jak u posterunkowego. Lipski oglądał z pewnością więcej trupów, niż chłopak miał platków śniadaniowych w miseczce.

– Trzeba zebrać odciski z butelek – zauważył komendant. – a resztki wina, czy czegoś tam, dać do analizy w laboratorium.

– W środku jest jeszcze kilka – wtrącił posterunkowy.

– Tym bardziej. Dobra, mów co dalej – komendant ponaglił młodego.

– Znalazłem tego tu – wskazał zwłoki. – I...

– Wcześniej – przerwał zniecierpliwiony komendant – zanim go znalazłeś.

– Zgłosiłem to i weszłem do tej dziury.

– Sam?

– Tak.

– Źle zrobileś – stwierdził spokojnie. Lipski tylko pokiwał głową z dezaprobatą.

– Chciałem od razu to sprawdzić. Drugi czekał na górze. – Posterunkowy przytomnie się bronił. Emil nie komentował. Wiedział, że patroli są dwuosobowe. Znal mentalność krawężników, więc się nie zdziwił. „Co za kretyn” – Lipski określił młodego policjanta w myślach. Nie dość, że nie umie mówić po ludzku, to myśleć o swojej dupie także.

– Ten żul mówił – tymczasem chłopak dukał jak przy tablicy – że trup nie jest jeden i to, że to jego kumple. Zaciekawilem się.

– Zaciekawilem się. – Emil powtórzył. – Co z tego?! Jak będziesz zgrywał bohatera, to zginiesz jako posterunkowy. Jak nie, jako aspirant, jak ci się poszczęści, może nawet jako komisarz albo inspektor – rzucił, łagodząc nieco nieprzyjemnie wrażenie.

– Bardzo śmieszne komisarzu Stompor. Ale on ma rację – Boss rzekł do młodego. – Na cmentarzu w Półwisi leży już nie jeden taki Sherlock Holmes jak ty. Zapamiętaj to.

– Spisaleś go? – mruknął Lipski.

– Kogo?

– Tego, co tu leży – ironizował. – No tego, co ci to zgłosił! A kogo?

– Aaa... Nie.

– To o czym myślałeś?

– Wie pan, panie prokuratorze – policjant natchmiał podjął obronę – to był Profesor.

Boss z Lipskim nie rozumieli.

– Jak się szlifuje krawężniki – ciągnął posterunkowy – to się zna tych żuli. Nie mają papierów, śmierdzą i nie ma sensu ich zatrzymywać. Tylko się zawsze można. To Profesor powiedział o tym tutaj – wskazał trupa. – Nie spisałem go, bo i tak nie powiedziałby, jak się nazywa. Papierów nie ma i nie ma z czego spisać. Ale jak będzie trzeba, to go znajdę.

Komendant otworzył usta.

– Nie trzeba. – Emil ubiegł przelożonego. – Sam to załatwię. Masz rację posterunkowy, dobrze zrobiłeś.

Znając tożsamość ważnego świadka, był częściowo zadowolony. Boss nie miał pojęcia o tym, co młody mówił. Zaczynał karierę jako milicjant. Ojciec był wysoko postawionym esbekiem. Nigdy nie był krawężnikiem.

Lipski tymczasem przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu.

– I co dalej? – zapytał po chwili.

– No nic. Przyszłem i znalazłem trupa. Potem dałem znać naszym. Dalej to już pan inspektor się tym zajął...

– Niewiele więc nam to dało – mruknął komendant.

– No – przytaknął Lipski.

– To się jeszcze okaże – Emil zaproponował, wciąż lustrując otoczenie.

Wnętrze skrywało wykafelkowane ściany pokryte brudem. Pomieszczenie zbudowano w kształcie prostokąta. Przy jednym z boków zawieszono były zdewastowane i rozbite umywalki.

– Myślałem, że będzie tu mokro – zauważył ze zdziwieniem Lipski. Nikt nic nie odpowiedział.

– Woda jest zakręcona od dziewięćdziesiątego pierwszego – nie przerywając oględzin, Emil mruknął po chwili.

– Skąd wiesz?

– Nie tylko pana obudziłem, panie prokuratorze.

– No tak. Mnie to pasuje, że nie leje się na łeb, a tylko kapie czasem za kołnierz.

Uśmiechnęli się, po czym przesunęli w głąb drugiego pomieszczenia, oddzielającego – jak domyślał się Emil – część męską od damskiej.

– Ja myślałem, że będzie śmierdziało.

– Przecież różami nie pachnie. – Emil skomentował domysły szefa. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach podziemi, z wyraźnie wyczuwalną nutą stęchlizny. Nie był to odór czy smród nie do wytrzymania, ale do przyjemnych zapachów nie należał.

– Szalet zbudowano – Emil, posuwając się w głąb wyjaśniał – w miejscu, gdzie znajdowały się generatory prądotwórcze. Było tu także główne wejście

i filtry. Po wojnie, z bunkra skorzystano, budując szalet ze ściekiem wpuszczonym do środka. Na dnie jest klepisko.

– Chcesz powiedzieć, że tam właśnie idziemy? – zaniepokoił się komendant.

– Przecież mówiłem, że wdepnęliśmy w gówno – Emil mruknął pod nosem. – Z planów wynika, że schron ma dwa poziomy. Był bardzo dobrze wentylowany, miał nawet filtry chemiczne. Po zbudowaniu był nowoczesny.

To bardzo zdziwiło Lipskiego.

– Kiedy? – natychmiast wtrącił pytanie.

– Za Adolfa. Filtry i wentylacja zostały zamaskowane pomnikiem na górze, zielenią i ozdobnym murkiem wokół placu – Emil wyjaśniał cierpliwie. – Miał dostęp do wody i szczątkową kanalizację na dolnym poziomie. Kiedyś była oznaczona droga ewakuacyjna, nowe uszczelki w drzwiach, sprawne silniki w filtrach, czyste ubikacje i zapasy wody. Nic, tylko się wprowadzać i mieszkać.

– Rzeczywiście, masz rację – odparł z niesmakiem prokurator. – Jak w Ritzu. No dobra, ale co w tym dziwnego, że żule weszli do starego bunkra czy tam schronu, a potem schlali się na śmierć? Przecież to zwykli bezdomni, społeczne wyrzutki. A właśnie, á propos, a gdzie jest ten drugi?

Sam jesteś wyrzutkiem – pomyślał Emil. Wiedział, że dla tego skurwiela liczyła się kasa i przez jej pryzmat oceniał człowieka. Masz kasę, jesteś człowiekiem; nie masz, nie zasługujesz na człowieczeństwo, oto twój kodeks moralny – myślał o Lipskim.

– Tam – posterunkowy wskazał wylamane w ścianie przejście.

– Aby wykuć ten otwór należało użyć narzędzi. Na pewno oskarża czy kilofa, młota albo łomu – Lipski starał się dociec prawdy.

– Nie znam się na budowlance – Emil mruczał tymczasem – ale to nie musiało być trudne. Zaprawa rozsypuje się w palcach – rzekł, rozcierając grudki tynku w dłoni.

Ruszyli dalej. Przeszli przez wylom, gęsiego.

– Z tego, co widziałem – kontynuował wypowiedź. Tylko on wiedział, dlaczego. W kieszeni kurtki ukrył magnetofon. Uszło to uwadze wszystkim – obok wersalki, bezdomni palili znicze, zapewne ukradzione z cementarza. Przy pierwszym cieple były też butelki i ślady obecności drugiego albo pozostałych członków libacji. Czapka, rękawiczka i dwie puszki piwa.

– Musieli wykuć przejście w miejscu, gdzie było kiedyś zamurowane – wtrącił posterunkowy.

– Chyba tak, ale to raczej nie oni.

– Czemu tak myślisz? – zdziwił się Lipski.

– A niby po co mieliby to robić?

– Cholera ich wie? – bronił się prokurator. – Skąd możesz wiedzieć, co im po pijaku przyszło go lbów?

– Chwilę. – Emil przystopował prokuratora. – Zaraz zobaczymy. Weszli właśnie do korytarza o niskim stropie. Nie było to miejsce, w którym bywa się codziennie. Raczej, w którym można by znaleźć się, przenosząc w czasie o pół wieku wstecz. Na półkolistym suficie zwisały resztki instalacji oświetleniowej.

– Emil? – zaniepokoił się prokurator. – Dzwoniłeś może też do elektrowni?

– Nie ma prądu. Bunkier miał własny generator. Szalet zasilany był z zewnętrznej linii, którą odcięto.

– Uff.

Przejęcie obniżyło się do półpiętra i schodów prowadzących jeszcze niżej. Potem do korytarza ciągnącego się aż po granice rozświetlanego latarką mroku. Do ich płuc docierało wilgotne i chłodne powietrze. Było przesiąknięte zapachem zgnilizny, zatechłych liści i przejmującego chłodu. Było to dziwne, bo przecież kilka metrów pod gruntem nie ma drzew. Skąd zapach liści? – zastanawiali się Emil.

– Jest tam – przerwał milczenie posterunkowy.

Dziesięć metrów od nich leżały zwłoki. Właściwie tylko szkielet białych kości. Pozostałości po człowieku okryte podziurawionymi łachmanami w nienaturalnie wykręconej pozie obok rozbitej butelki.

– Teraz uważajcie i módlcie się, żeby nas nie wyczuly – szepnął posterunkowy .

– O co chodzi? – zapytał Lipski. Boss zresztą pomyślał to samo, ale milczał przestraszony. Emil wiedział, ale zamiast odpowiedzieć szepnął:

– Widzicie? Skrzynka, chyba drewniana.

– Uhm – przytaknął posterunkowy. – Ale nie wiem dokładnie. Stąd zawróciłem.

Podeszli do niej. Wewnątrz stały butelki 0,7 l. Brakowało trzech, aby była pełna.

– Wino – otworzywszy usta, ze zdziwienia skomentował widok posterunkowy.

– Nie wietrzę! – Lipskiemu ten widok nie mieścił się w głowie.

– A jednak. – Posterunkowy kiwał potakująco głową.

Tymczasem Emil odwrócił się i skierował światło na szkielet. Obok ręki leżała butelka, wciąż cała.

– Ten sam jabol co przy wersalce.

– No dobra – Bossakowski wreszcie dał głos. – Ale sztywniak wygląda, jakby leżał tu już dobre parę lat.

Emil, zamiast odpowiedzieć znów zaczął dedukować.

– Ktoś wybił przejście... – jego głos załamał się nagle. Dostrzegł opasłe szcurze cielska. W mgnieniu oka odgadł tajemnicę szkieletu.

– Jasny chuj – jęknął. – Wiejemy! – i rzucił się w kierunku wyjścia, gdzie byli już pozostali. Po kilkunastu sekundach wybiegli zdyszani na powierzchnię. Lipski powstrzymywał odruch wymiotny. Emil i Boss oddychali ciężko, jak po biegu na 110 metrów przez płotki. Kiedy się wreszcie uspokoili, Lipski zaczął:

– Nic nie ożywia dnia jak dobry trup.

Zarechotali śmiechem. Rozluźnieni po chwilach pełnych napięcia, odetchnęli.

– Wywalili kawałek ściany w opuszczonym szalecie, aby dostać się do wnętrza, w którym jeden się zachłwał na śmierć – podsumował oględziny komendant. – Drugiego zżarły szczury, kiedy szedł po ukryte tam wi-na.

– Na to wygląda – odparł posterunkowy.

– No to otwieramy sprawę, panie Stompor – komendant zwrócił się żartobliwie do Emila. – Ale chcę, żebyś wiedział, że nie podoba mi się to miejsce. Jest niebezpieczne. Należy zamknąć tę sprawę jak najszybciej i nie kręcić się tutaj.

– Tak – dodał Lipski.

– A co, jeśli będą jeszcze inni? – zawahał się posterunkowy.

– Zobaczymy – mruknął prokurator. – Prokuratura otwiera – dodał po chwili – dochodzenie. Policja czynności operacyjne, aby wyjaśnić wszelkie okoliczności. Prawda, panie komendancie?

Bossakowski nic nie odpowiedział, ciągle dysząc. Pokiwał głową. Wiedział, że Lipski ma rację.

– No... – nieśmiało zaczął posterunkowy. – No... ja i panowie dotarliśmy tylko do miejsca, gdzie leży ten drugi sztywniak i ta skrzynka. Dalej żaden z nas nie doszedł.

– Posterunkowy ma rację – odezwał się dotąd milczący Emil. – Nie wiemy, co jest dalej. Bunkier jest za duży i zbyt niebezpieczny, by go spenetrować ot tak, standardowo.

Słowa Emila oznaczały sprowadzenie specjalnej ekipy, papierki i mnóstwo roboty. Najbardziej nie pasowało to wszystki komendantowi. Miał swoje powody. Skomentował fakty jednym zdaniem:

– I tak trzeba zacząć dochodzenie.

– A schron zbadać – dorzucił Lipski.

Zamilkli, zastanawiając się nad tym, co zobaczyli. Każdy z nich widział niejedno ludzkie nieszczęście. Mimo tego widok – szczególnie drugiego ciała, szkieletu właściwie – zrobił na nich niemalże wrażenie. Młody wciąż był blady.

Po chwili prokurator znów się odezwał:

– Widziałem niejedno. Niejednego trupa oglądałem. Ale czegoś takiego jeszcze nie. I wiecie co? – ciągnął Lipski. – Zastanawiam się, jak można być tak głupim, żeby schować, podpierdoloną gdzieś pewnie

skrzynkę wina, do bunkra pełnego szczurów i tak podpisać na siebie wyrok śmierci?

– A jeśli ktoś chciał ich zabić? – Emil odezwał się, wypuszczając dym z ust.

## 5.

Dwa dni później przed Wojewódzkim Centrum Medycznym w Opolu Emil czekał na prokuratora w swoim polonezie. Dupek się spóźnił, więc zdążył wypalić już dwa camele.

Rozejrzał się. Nie widząc wzdłuż całej Alei Witośsa niczego niepokojącego, sięgnął do schowka i wyjął ćwierćlitrową piersiówkę z wódką. Pociągnął trzy spore łyki. Alkohol przyjemnie rozpląwał się w żołądku. Wiadomości w radio rozpoczął news dnia.

– Przedwczoraj coś dziwnego działo się w sercu Opoła – usłyszał. Podkreślił głośność.

– Jak udało nam się dowiedzieć, po nocnej akcji funkcjonariuszy policji z Opoła, do bunkra na placu Daszyńskiego weszli żołnierze z Tarnowski Gór. Zapytaliśmy rzecznika prasowego komendy – po co?

Dziennikarka przedstawiła policjanta i Emil po chwili usłyszał:

– Czy to prawda, że żołnierze odszczurzali bunkier?

– To prawda.

– Czyżby opolska policja ścigała szczury, zamiast ścigać przestępców?

– Oczywiście nadal ścigamy przestępców – rzecznik odpowiedział przytomnie. – Deratyzacja była niezbędna do prowadzenia czynności operacyjnych.

– Jakich czynności?

– Koniecznych przy dochodzeniu, które prowadzimy.

– Rozumiem – nie dawała za wygraną. – Ale radio O’Key dowiedziało się, że znaleziono tam zwłoki. Czy potwierdza pan tę informację?

– Tak.

– Czyli w bunkrze znaleziono ciała.

– Tak.

– Ile?

– Dwa.

– Jak doszło do tego odkrycia?

– Otrzymaliśmy informację od anonimowego informatora.

– Rozumiem. Kim byli zmarli?

– Staramy się to ustalić.

– W jakich okolicznościach doszło do śmierci? Czy zostali zamordowani? Takie są przypuszczenia, prawda?

– Pani redaktor, nie wiem jakie są przypuszczenia. Policja działa na podstawie faktów, nie przypusz-

czeń. Prowadzimy śledztwo, aby odkryć przyczynę śmierci tych ludzi.

– Po co sprowadzać wojsko z Tarnowskich Gór do bunkra w Opolu?

– Grupa Ratownictwa Chemicznego jest jednostką, z którą często współpracują różne komendy.

– Nadal nie wiemy, dlaczego żołnierze wchodzili do bunkra. Powie pan dlaczego?

– Mogę powiedzieć, że w bunkrze funkcjonariusze chcieli przeprowadzić czynności dochodzeniowo-śledcze. Obecność szcurków to utrudniała. Stwarzała też dodatkowe niebezpieczeństwo, zatem żołnierze zajęli się kłopotliwymi gryzoniami, aby umożliwić pracę policjantom.

– Oczywiście, rozumiem. Czy przeprowadzono te czynności?

– Trwają one nadal.

– Jaki jest ich charakter?

– Analizujemy ślady, badamy możliwości i poszlaki.

– Mówi się, że ktoś dokonał tam brutalnego morderstwa? Czy może pan to potwierdzić?

– Nie mogę. Nie mogę również tego wykluczyć. To jedna z ewentualności, jaką dopuszczamy. Zapewniam, że pracujemy nad rozwikłaniem tej zagadki.

– Dziękuję za rozmowę.

– Ja również.

– Drodzy radiosłuchacze, państwa gościem był nadkomisarz Maciej Milewski. Rozmowę prowadziła Małgorzata Krawiec. Radio O’Key.

W tej samej chwili Emil dostrzegł zbliżającą się lanię. Wylączył radio. Wyszedł z samochodu.

– Cześć! – Lipski przywitał się prawie po przyjacielsku, podając policjantowi dłoń.

– Witam, panie prokuratorze.

– Co tak oficjalnie?

– Spóźnił się pan.

– A tak. Przepraszam. Korki. No to co, idziemy?

– Idziemy.

Ruszyli w kierunku nieciekawego budynku przy szpitalnego Zakładu Medycyny Sądowej. Po wejściu Lipski przywitał się z patologiem. Emil także. Policjant podszedł do zwłok. Przyglądał się nim uważnie.

– Wiadomo coś w jego sprawie? – patolog zagaił prokuratora, przygotowując się do pracy.

– Według mnie to strata czasu, ale wiadomo, prawo – zachnął się Lipski. – Sprawa prosta jak drut: menele, tanie wina, podziemia i trupy.

– A tak, słyszałem. No to zobaczymy.

– Według mnie nie ma co oglądać. Poza tym mam ciekawsze i ważniejsze – prokurator podkreślił z naciskiem – rzeczy do zrobienia, niż oglądać trupa jakiegoś zapijaczonego menela.

Emil tymczasem nadal oglądał zwłoki. Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat – myślał – siwa broda przywodziła na myśl Robinsona Cruoe, z filmu, na który wybrał się kiedyś z córką.

Trup miał nienaturalne powyginane dłonie. Niczym u człowieka z chorobą psychiczną. Były blade i zniszczone. Na palcach miał ślady pobierania odcisków. Daktyloskopię już wykonano. To dobrze – pomyślał z satysfakcją. Zatem jego polecenia były wypełnianie. Może będą mogli odkryć tożsamość, jeśli był notowany.

Mężczyzna leżał na plecach z rękoma ułożonymi na stole wzdłuż nienaturalnie wygiętego ciała. Było to spowodowane najprawdopodobniej ułożeniem na wersalce po śmierci i zeszywnieniem zwłok – pomyślał. Choć z drugiej strony, natychmiast rzuciło się Emilowi w oczy, że ciało były wciąż sztywne.

– Dobra! Do roboty – rzekł patolog i włączył magnetofon. – Badanie na zlecenie Prokuratury Okręgowej w Opolu, którego celem jest ustalenie przyczyny śmierci denata. Mężczyzny o nieustalonej tożsamości w wieku lat... – zaczął.

Kiedy patolog nagrywał początkowy fragment i pobierał wymazy z jam ciała, Emil zerknął w papiery Lipskiego. Odczytał, że kiedy zabierano zwłoki z bunkra, miały temperaturę 25°C. To musiało oznaczać, że znaleźli go dość szybko po śmierci.

– ...rasy białej. Typ budowy ciała ektomorficzny – opisywał zwłoki – wzrost 168 centymetrów, masa 66 kilogramy...

Następnie rozciął ubranie i sfotografował zwłoki. Wykonał dwa ciecia skalpelem od lewego i prawego ucha równoległe do obojczyków. Niemal biała skóra rozdzielała się z łatwością, odsłaniając czerwień mięśni. W powietrzu rozniósł się charakterystyczny, trupi fetor. Policjant poczuł słodki smak w ustach.

Biorąc pod uwagę temperaturę w bunkrze – Emil dedukował – w granicach 12 – 14 °C i średnią utratę ciepłoty ciała po śmierci rzędu 1,8 °C na godzinę, musiał zejść wieczorem, do 10 godzin przed znalezieniem.

– Minęła już ponad doba od śmierci – lekarz rzucał, niemal czytając w myślach Emila. – Wskazuje na to stężenie pośmiertne. Nadal występuje, choć z pierwszymi oznakami ustępowania.

Zajęty uzupełnianiem przy biurku papierów Lipski nie reagował. Nie był zainteresowany sekcją. Natomiast Emil bardzo się zaniepokoił. Według niego zgon musiał wystąpić co najmniej 48 godzin wcześniej. Tymczasem lekarz stwierdzał co innego. Zastanawiające – myślał. To i dziwne wygięcie nie pasowało. Postanowił na razie nie przeszkadzać.

– Brak livores mortis – stwierdził lekarz.

Fakt – pomyślał – nie było plam opadowych. Dla Emila ich brak był wskazówką, że sztywniak nie zatrul

się czadem, cyjankiem czy azotanami. Nie było też sińców, obtarć, krwiałków ani ran. Żadnych urazów na czaszce.

Zatem nie został pobity. Nikt siłą do bunkra żulika nie doprowadził. Jego śmierć nie ma związku z zabawami rozpuszczonych małych dzieci czy porachunków między menelami – pomyślał.

Lekarz wykonał kolejne cięcie. Od mostka, gdzie niby naszyjnik spotkały się pierwsze dwie rany, ciał w kierunku krocza nieszczęśnika. Szybkimi ruchami patolog pogłębiał rany w bruździe pomiędzy rozciętą skórą, niczym kozikiem.

Lekarz ciał z zapamiętaniem. Odkrajał fachowo i szybko pierwszy, trójkątny fragment skóry, zrywając go stopniowo w kierunku brody. Skórował zwłoki jak rzeźnik wieprzka. Wreszcie dotarł do krtani i spojrzawszy na Emila rzekł.

– Os hyoideum nie uszkodzona.

Ten potwierdził ruchem głowy, że widzi. U wiśliców kość gnykowa zawsze jest połamana. Świadczyło to, że denat nie był duszony. Nic zresztą na to wcześniej nie wskazywało.

Lekarz kolejnymi cięciami oddzielał skórę brzucha od mięśni aż do kości łonowej. Lekarz obszedł stół. Z jamy brzusznej, przy wtórze niebywałego fetoru kału, niestrawionego jedzenia i alkoholu, wylały się wnętrzności.

– O, bardzo przepraszam – rzekł. – Przypadkiem przeciąłem żołądek – usprawiedliwiał się.

Policjant wiedział, że nie był to przypadek. Doskonale zdawał sobie sprawę, że aby rozkładać zwłoki, trzeba być trochę walniętym człowiekiem. Widok białej od smrodu twarzy, zawsze rozbawiał takiego czubka, a smród był nie do zniesienia. Dzięki niemu, Emil nie miał wątpliwości, że menel pił i to sporo. Oczywiście wiedział o tym wcześniej, teraz miał na to dowód. Tylko one się liczyły.

Lekarz odsłonił brzuch i żebra, odcinając dwa płaty skóry. Z dolnej części brzucha wylały się wypełnione treścią pokarmową i kałem jelita, przykrywając nieco rozcięty żołądek. Emil zerknął na wątrobę. Zielonkawo-czerwonego koloru płyn zalął ją niemal całą, czyniąc prawie niewidoczną.

Patolog wyszukał woreczek żółciowy. Wyciął go i odłożył. Przypominającymi sekator nożycami odciął kilkoma wprawnymi ruchami żebra z mostkiem. Pomagając sobie skalpelem, oddzielił całkowicie ten fragment ciała. Kończąc, odłożył na bok, niczym skorupę ogromnego żółwia. Emil miał teraz przed oczyma trzewia tego człowieka jak na dłoni. Przyglądał się z zainteresowaniem, gdy lekarz wycinał serce.

– Zapach, kolor i wygląd wnętrza – mówił – wskazuje na zatrucie alkoholowe.

– Jest pan pewien? – z głębi sali, doszedł głos prokuratora.

– Tak, jak tego, że facet nie żyje. Jeszcze tylko chciałbym zobaczyć wnętrze żołądka, z ciekawości. Chcę wiedzieć, co jadł. Dla pewności otworzę jeszcze też czaszkę.

– Nie trzeba. Wierzimy panu – Lipski zaprote-  
stował od razu.

Ciekawe, jakim prawem wypowiedasz się w moim imieniu – Emil pomyślał z niechęcią.

Patolog odłożył skalpel. Przeciął jelita w dwóch znanych tylko sobie miejscach i wyszarpał obiema rękami, niczym kilka pęt kielbasy w sklepie, i przelożył do emaliowanej miednicy. Wskazał palcem na wątrobę. Była jasna, zbyt jasna jak na ten organ.

– Cirrhosis hepatis.

– Marskość? – zapytał Lipski.

– Tak, plus zatrucie – rzekł dodając po chwili. – I to ono zdecydowało.

Szerokim cięciem otworzył żołądek. Z jasnoszarego worka rozlał się żółtawy, śmierdzący i nadtrawiony alkoholem płyn.

– Z taką wątrobą i tak nie pociągnąłby długo – skomentował, pobierając próbkę. – O, widzę, że nasz trupek lubił tanie wino – żart lekarza wydał się Emilowi nie na miejscu.

– Skąd pan wie? – natychmiast zapytał zaciekawiony.

– Proszę spojrzeć – rzekł do Emila wskazując żołądek. – Właściwie sam płyn.

– Uhm. – potwierdził, ale nic mu to nie dawało. Nie znalazł się na zawartości żołądków truposzy.

– Wody nigdy tyle nie ma – wyjaśnił. – Piwsko śmierdzi inaczej. Tutaj widzę, że to wino. Na pewno nie francuskie, czuć zresztą – dodał z nieco diabolicznym uśmiechem.

– No to co? Po sprawie tak? – wtrącił się prokurator.

Spojrzeli w jego kierunku. Był wyraźnie zadowolony.

– Właściwie tak. Jeszcze tylko poczekamy na laborkę – patolog pokiwał głową.

– Na co? – Lipski zapytał zdziwiony.

Lekarz zerknął na prokuratora, wskazując skalpelem próbkę.

– Na to.

– Myśli pan, że to konieczne?

– Zanim podpiszę, wolalbym wiedzieć, że przy okazji nie chlał płynu hamulcowego.

– Eeee... i tak to nie ma znaczenia – prokurator machnął ręką. – Gość jest anonimowy, bez rodziny, bez nikogo. Nie ma sensu.

Zdziwiony patolog spojrział na Emila. Ten zaś nie dał po sobie poznać niczego i tylko wzruszył ramionami. Wolalby, aby próbka była zbadana, lecz bardziej zainteresował się czymś innym.

– Powiedział pan – zwrócił się do zaskoczonego lekarza – że denat zmarł dobę temu?

– Niekoniecznie, mógł leżeć dłużej, jeśli było na przykład chłodno.

– A czemu go tak wygięło? To normalne?

– Faktycznie dziwne. – Lekarz przyznał z zakłopotaniem, drapiąc się za uchem. – Ale z drugiej strony to typowy objaw przy epilepsji.

– Znaczy się, przy padaczce?

– Tak. Jak ktoś chleje na umór i nic nie je, czasem występuje coś takiego jak pijacka padaczka. Wtedy właśnie tak wygina ciało.

– Aha.

Emilowi wszystko ułożyło się w głowie. Uspokoił się. Tymczasem w rozmowę wtrącił się prokurator.

– No i co panie komisarzu? – rzekł z zadowoleniem. – Od początku wiedziałem, że nie trzeba było mnie rano budzić. Proszę jeszcze zbadać tę próbkę, jeśli pan woli – zwrócił się do lekarza – i zamykamy.

– Coś będzie trzeba powiedzieć dziennikarzom. – Emil zmienił temat.

– Poradzę sobie. No to co? Będę się zbierał, spieszę się – rzekł, stukając palcem w srebrny zegarek. – Zszyjcie go. Wpadnę tu z papierami przed siedemnastą.

– Ale jutro.

– Dobra, niech będzie! – zgodził się na lekarską odpowiedź. – Na razie. Dzięki.

## 6.

Inspektor Jan Bossakowski został psem w PRL-u. Dziś, jako komendant KWP, nie pamiętał albo pamiętać nie chciał o tym, że miał w życiu pewien, ważny epizod. Debiutował w ZOMO. Większość o tym zapomniała dlatego, że zapomnieć było na czasie. Ot, taka moda na politycznego Alzheimera. Choroba niemłoda i nieuleczalna. Zapadają na nią gnoje na całym świecie: komuniści, naziści, ubecy, najzwyklejsi zbrodniarze i lizusi jak on.

Boss był w fabryce dłużej niż Emil. Miał wielu kumpli z tamtych czasów. Z czasem znikali ze sceny, ale za sobą pozostawiali synów czy zięciów. Między innymi takich, jak prokurator Lipski, syn startego Lipy, ubeka, dziś senatora RP. Dzięki takim jak on, lustracja była tylko picem na wodę. Kolesie zadbali o to, aby ich teczki były czyste.

Emil nie pasował. Jego ojciec był akowcem. Po powstaniu trafił do obozu koło Opola. Z czapką po-

zbawioną orzelka w koronie trafiła tam także sanitariuszka z powstania. Ojciec Emila, czołgał się z nią po gruzach Starego Miasta. Przeszli tą samą rurą do Śródmieścia. Doczekali kapitulacji i wyszli z miasta tą samą kolumną. W jednym pociągu przewieziono ich do obozu, ale poznali się dopiero w Lamsdorf.

Powstaniec i sanitariuszka zza kolczastego drutu patrząc na niebieskie niebo i zielony las, zakochali się w sobie. Halinkę wywieźli zaraz potem. Po przejściu ruskich ojca Emila nadal więziono, tyle że teraz na wspólnie z Niemcami z Opolszczyzny, z żołnierzami Andresa, z jeńcami września z pod Bzury, do wiosny 1947 roku.

Wkrótce potem, po przesłuchaniach i krótkich aresztach zamieszkał w Opolu. Kiedy ubecja rozbijała ostatnie akowskie oddziały w 1950 roku, trafił z niedożywienia, rozpacz i samotności do szpitala.

– Mam dwadzieścia cztery lata – powiedział, kiedy się spotkali – ocalałem.

Była tam pielęgniarka. Więc kiedy wyzdrowiał, dwie dusze spod znaku białoczerwonej opaski i orzelka w koronie zostały ze sobą. Przegrani w nowej, powojennej rzeczywistości, starali się żyć godnie i uczciwie. Wiele lat po powstaniu przyszedł na świat Emil, jako drugi syn. W następnym roku pojawił się młodszy brat Emila i żyli w pięcioosobowej rodzinie. Aż do dnia kiedy Emil miał lat dziewięć i matkę zabił rak macicy.

– Gówno prawda! – powiedział potem pewnego popołudnia na lekcji historii i dostał linijką w dłoń, aby natychmiast zapomniał o prawdzie.

Ale przeciwnie, Emil pamiętał. Nigdy milicjantem nie został i zomowskiego pochodzenia komendanta nie zapomniał. Dziś, przed emeryturą, mógł splunąć na wszystko. Szczególnie, kiedy się upił jak dziś, a głos swojego szefa w radiu miał gdzieś.

## 7.

Skrócił zarost maszynką elektryczną do jednego milimetra. To niewiele pomogło. Wdziął zmęczonego życiem, starzejącego się mężczyznę. Zamiast śniadania, wypił gorzką kawę. Połknął dwie tabletki od bólu.

– Nie wyglądasz za dobrze – dziewczyna na stróżówce przywitała Emila.

– Mam okres.

– Boli cię brzuch?

– Serce mnie boli, malutka. Przeziębilem się, nic mi nie jest, dzięki za troskę.

– No to idź do Bossa. Pytał o ciebie.

Wczoraj wypalił za dużo. Tytoń wybitnie potęgował syndrom dania wczorajszego. Dziś nie zapalił ani jednego. Wszystkie mu śmierdziały.

– Co ci jest? – usłyszał w drzwiach.

– Przeziębilem się.

– Źle wyglądasz.

Komendant siedział za biurkiem w mundurze jak car. Słońce przyjemnie oświetlało gabinet. Zapowiadał się jeden z pierwszych tej jesieni, pięknych dni. Emila słońce tylko jednak drażniło. Reagował bólem na światło.

– Martwię się o ciebie. – Szef zagaił znad gazety.

Akurat – pomyślał. – Chciał mnie pan widzieć?

– Tak. Wiesz, że zamykamy tę sprawę?

– Wiem, słyszałem – odburknął niechętnie.

– To dobrze – komendant odparł odkładając gazetę. Po chwili mruknął:

– Co jest? O co ci chodzi?

Emilowi nie podobało się, że robią to już. Nie był pewien czy to takie oczywiste, jak wczoraj słyszał w radiu. Pośpiech jest dobry przy łapaniu pcheł, ale nie przy takich sprawach – myślał.

– Czy to nie za szybko?

– Szybko? – obruszył się komendant. – A nad czym się tu zastanawiać? Pili na umór, to się przekreśli. Mieli chociaż dzień dziecka na koniec.

Niezły żart. Zobaczymy, jak sam skończysz, stary ubeku – pomyślał.

– Poza tym nie chcę, by ktokolwiek kręcił się obok tego bunkra – komendant mówił dalej. – Dla mnie, burmistrza z radą parafialną, ten bunkier to wrzód na dupie.

– Mogliśmy poczekać na toksykologię. – Emil delikatnie podjął próby przeciągnięcia końca choćby o jeden dzień. Czuł, że coś jest nie tak, jak być powinno.

– Już jest. Była wczoraj, dlatego dałem ten wywiad.

– I co?

– Nic. Tak, jak myśleliśmy z Lipskim. Wino i tyle. Tu – wskazał ruchem głowy – leżą dokumenty. – Emil spojrział na wyniki.

– Zapoznaj się i włącz do akt.

Analiza wskazywała, że zawartość żołądka stanowił nie strawiony alkohol średnioprocentowy. Jak mówił patolog – wino. Jednak uderzyło Emila, że we krwi było tylko 4,5 promila alkoholu.

– Zatem sprawa zakończona – zakomenderował Boss. – Możesz się brać za papiery. Lipski zamknął postępowanie.

– Skoro pan tak mówi.

– I co? Wcale nie trzeba było nas wtedy budzić!

– To samo mówił Lipski w prosektorium.

– I miał rację. Miał rację – powtórzył. – Następnym razem lepiej się zastanów.

Mam to gdzieś, stary durniu – pomyślał Emil. Po czym poprosił:

– Mam jeszcze coś.

– Coś ci nie gra? – Boss podniósł brwi znad okularów.

– Chcę jeszcze coś sprawdzić. Pogadam z tym patologiem i z Profesorem. Nie gadaliśmy z nim.

– Jakim Profesorem do ciężkiej cholery? – zaczerwienił się stary.

– Z menelem, który ich znalazł.

– A... tak. – Komendant przypomniał sobie. – Tego, o którym młody mówił. Dobra. Rób, jak chcesz. Ale sprawa jest zamknięta. Dzisiaj jest środa. Do soboty chcę, żeby papiery były gotowe – stuknął długopisem w blat. – Będą leżały tu, u mnie na biurku. Jasne?

– Jasne.

– Mamy ważniejsze sprawy niż pijaczkowie. To śmiecie. Nawet, jeśli by ich ktoś ubił, to nie ma to znaczenia. Im będzie ich mniej, tym lepiej.

## 8.

Wyszedł z gabinetu Bossakowskiego. Jego myśli zaprzętał alkohol u denata. Postanowił, że pojedzie do patologa i zapyta go o to. Potem odszuka Profesora, ale za nim to zrobi, musi wypytać młodego od bunkra.

– Gdzie posterunkowy Wilk?

– Jestem w piątce, w gimnazjum numer pięć.

– Dobra. Zaraz tam będę. Chcę z tobą pogadać.

Po kolejnych reformach edukacji połączono szkołę podstawową z gimnazjum w jeden zespół, tworząc niezły cyrk. Byli wzywaniu tu co najmniej raz w tygodniu. Emila nie zdziwiła obecność ludzi z fabryki w szkole. Dręczyła go pewna myśl. Raport patologa stwierdzał, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucie alkoholem. Ale we krwi było tylko 4,5 promila. Owszem, to typowa dawka śmiertelna. Znane są jednak przypadki, że po 4,5 promilach chłopaki z drogówki wyciągali delikwenta z za kółka. Pięć promili to norma, przy której wielu nie tylko nie schodziła. Rekord to dziadzio prowadzący rower, który miał 13,5 promila. Niestety, nie przeżył. Dowodzi to, że menelki, pijąc codziennie, powinni mieć więcej niż 4,5 promila, aby się przekreślić. Dojeżdżając do szkoły, odsunął te myśli od siebie. Skupił się na tym, o co zapyta młodego.

## 9.

Los zawsze i bezbłędnie sygnalizował nadejście tego szczególnego momentu śledztwa, od którego zazwyczaj wszystko się zmieniało. Przypominało to lekcje matematyki. Nauczyciel milkł złowrogo, pochylony nad dziennikiem, a wraz z nim cała klasa zapadała się w bezbrzeżną ciszę. Emil nagle odczuwał lekkie ukłucie, niemal równoczesne z momentem, w którym usłyszał własne nazwisko.

Wielu właśnie tego mu zazdrościło. Uważano, że posiadał talent. Nie zastanawiał się nad tym głębiej, oddając się raczej wyczekiwaniu na ów moment albo też, nie doczekawszy go, śledztwo zamykał. Zwykle oznaczało to, że zrobił wszystko, co mógł osiągnąć.

– Rozmawiałaś z Profesorem? – zapytał posterunkowego.

– Tak.

– Co ci powiedział?

– Niewiele.

– To znaczy, co?

– Jakieś bzdury. Mówił, że ostro popił i grzał się na głównym, bo przecież pijany nie mógł wrócić na noclegownię.

Fakt, nie mógł. Regulamin noclegowni zabraniał picia i przychodzenia pijanym.

– Obudziła go jakaś dziwna kobieta, niby anioł.

– Anioł? – Emil powtórzył zaskoczony.

– Tak.

To akurat Emila rozbawiło. Zaskakujące, że ludzie z marginesu mają często do czynienia z nieziemskimi istotami. Tak samo, jak złodzieje, wariaci, psychopaci i zwykli kłamcy.

– Powiedział, że anioł dał pięć dych i przestrzegł, żeby więcej nie pił.

– O, a to ciekawe.

– Też tak pomyślałem.

Akurat co młody myślał, najmniej obchodziło Emila. Postanowił wysłuchać go jednak do końca. Głównie, aby nabrać pewności czy sam będzie musiał pofatygować się do Profesora, czy jest to zbędne.

– Mówił jeszcze coś?

– Tak, panie komisarzu. Powiedział, że anioł przestrzegł, że jak będzie dalej pił, skończy jak kumple w szalecie na placu Pedala. Więc tam poszedł. Potem zaczął na ulicy mnie.

– Dziwne.

– Też tak myślałem. Ale Profesor się tego trzymał, że tak mówiła ta kobieta-anioł.

To jeszcze bardziej zdziwiło Emila. Nie sądził, żeby Profesor był aż tak elokwentny, by wymyślić taką bajeczkę. Oczywiście tego Emil nie był pewny. Nie miał wątpliwości, że spotkanie z Profesorem będzie jednak niezbędne. Dla pewności poszuka Profesora po powrocie z prosektorium. Na pewno jego osoba ma jakiś związek ze zwłokami. Żebrak raczej nie byłby zdolny zabić, tym bardziej, że sekcja na to nie wskazywała. Ale jeśli naprawdę ktoś dał mu jakieś pieniądze, to było podejrzane. Tym bardziej pięćdziesiąt złotych. Być może w ten sposób dowie się chociaż, kto ukradł te wina. Zawsze to coś. Musi dowiedzieć się, ile było w tym prawdy – myślał.

– Powiedział jeszcze coś?

– Nie chciał więcej mówić. Płakał.

– Płakał?

– Tak. Oplakiwał tamtych z bunkra. Mówił, że ludzie są źli, skoro potrafią zabić takich nieszczęśników jak oni.

– Zabić?

– Tak.

– Dobra. Pytałeś może o te pieniądze? O ten banknot?

– Nie, nie pytałem.

– Dzięki, dobra robota, posterunkowy.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– To spadam. Trzymaj się – pożegnał się z młodym, podając rękę. Odchodząc zerknął na sanitariuszy i lekarza. Ze szkoły wynoszono na noszach jakiegoś gówniarza. I wtedy Emil to czuje. Jest blisko wskazówki. Dzieciak jest wygięty identycznie jak bezdomny z prosektorium.

– Ej! Posterunkowy! – a co tu się właściwie stało?

– No, wezwali nas, bo okazało się, że jakieś dzieciaki się naćpali. Byliśmy najbliżej. Zabezpieczyliśmy i czekamy na narkotykowych z psem. Dzieciarnia jest w sali gimnastycznej. Będziemy przeszukiwać.

– A czym się naćpali?

– Właściwie niewiadomo, ale znaleźliśmy przy nich grzybki.

– Psylocybinowe?

– Ja tam nie wiem, mamy je u dyrektora. Takie jak te, co nam w Szczytnie pokazywali: malutkie, suche. Jak przyjadą z psem, to będą wiedzieli. Znają się na tym, bo z tym robią. Jak pan komisarz się interesuje, to zaraz mają tu być.

– Nie, dzięki posterunkowy, mam sprawę.

Emil czuł to wyraźnie jak zapach krwi. Miał trop. Wsiadł do poloneza i wywołał fabrykę.

– Dajcie kogoś, kto zna się na grzybach halucynogennych.

Po kilku chwilach odezwał się głos w radiotelefonie. – Jestem komisarzu, sierżant sztabowy Janeczek. Co pan potrzebuje wiedzieć?

– Interesują mnie psylocyby.

– Znaczą się grzybki halucynogenne?

– Tak?

– A co konkretnie?

– One są trujące?

– To znaczy czy można się po nich przekreślić?

– Tak.

– Nie bardzo, nie zanotowano jeszcze takiego przypadku.

– A co się może dziać przy przedawkowaniu?

– Delikwent się zesra po same pięty albo porzyga, ale się nie przekreśli. Musiałby naprawdę bardzo dużo ich zeżreć.

– A jakie są objawy?

– Psylocybina, zawarta na przykład w lyszczce, powoduje halucynacje i różne inne hece.

– Na przykład co?

– Ślinotok, szczękościsk albo zeszywnienie ciała.

– Zeszywnienie?

– Tak. Koles się wygina jak banan, bo sztywnieją mięśnie. Potem przez kilka godzin tak będzie leżał, aż wątroba rozłoży alkaloid. Wtedy ćpunek dochodzi do siebie. Będzie trochę przymulony przez dobrych kilkanaście godzin, ale raczej wróci do rzeczywistości i nic mu nie będzie. No chyba, że się pomyli i zeżre zamiast lyszczki coś innego – muchomora albo jakies inne gówno. Wtedy wygnie go w łuk i się przekreśli.

– Czemu się wygina?

– To zależy, nie zawsze tak się dzieje. Jeśli tak, jest to dowód, że najprawdopodobniej zeżarł coś, co zawiera alkaloid atakujący układ nerwowy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Emil wiedział już, po co jedzie do prosektorium. Nie miał wątpliwości, że ktoś pomógł tym nieszczęśnikom przeprawić się na tamten świat. Potrzebował tylko dowodu.

## 10.

Znów się jej przyśnił – pomyślała. Mówił do niej, kiedy zasypiała. Słyszała jego głos. Odkąd odszedł, wciąż go słyszy. Każdego dnia.

– Mel... Melka.... Melisa – woła ją. Raz szybko, raz głośno. Słyszy go. Inne głosy – kobiet, mężczyzn, dzieci – zachęcające, grożące, proszące, zniecierpliwione, przyjazne, ostrzegawcze, złowrogie. Podpowiadają, co powinna zrobić. Wypełniają głowę. I te sny. To właśnie w snach go najczęściej widuje. Jestem już całkiem chora, psychicznie oddzielona od rzeczywistości – myśli – czy trauma jest taka głęboka. Przecież to tyle lat. Szpitale, sanatoria, psychiatrzy i rzekoma choroba, ja nie potrafię się wciąż z tą śmiercią pogodzić. Pragnę poczuć słodki smak zemsty. Tylko to może sprawić, bym żyła normalnie – myśli. Balansowanie na krawędzi obłędu ma jednak tę niebezpieczną cechę, że przechodząc w szaleństwo, nie jesteśmy świadomi przekroczenia granicy. Zaś kiedy sobie to uświadomimy, jest już za późno, by wrócić.

## 11.

Zza solidnych oprawek okularów patrzyły na nią oczy bezgranicznie pochłonięte zajęciem właściciela.

– Co się stało? – naczelny odparł znad faktur . – Przyszłaś się zemścić za tamten poranek?

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech.

– To potem. Teraz mam co innego.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie mówiłabym ci, ale to jakaś dziwna sprawa.

– Tym lepiej. Im dziwniejsza, tym bardziej interesująca.

– Tak, tak, pamiętam.

Słowa tyczyły się jej początków. Kiedy zaczynała, mocno ingerował w jej pracę. Wycinał całe fragmenty audycji. Odrzucał wiele materiałów, tłumaczył, co jest istotne, a co nie. Choć była od niego starsza, to on był starszy doświadczeniem.

– O co więc chodzi?

– Idę na spotkanie.

– Dobrze, ale dlaczego o tym mówisz?

Widać, sprawy, którymi się zajmował, pochłaniały go bez reszty. Przeszkodziła jakąś drobnostką, bez większego znaczenia. Wyczuła to w tonie głosu. Zobaczyła w błękitnym, jasnym spojrzeniu.

– Nie gniewaj się, że ci przeszkadzam, ale trochę się boję...

– Nie rozumiem.

– Zadzwoiła do mnie wczoraj kobieta i... – zastanowiła się, jak to powiedzieć.

– I?

– ...i przyznała, że chce porozmawiać o trupach w bunkrze. Podobno wie na ten temat bardzo dużo.

– To super!

– Trochę się boję. Wiesz, to jednak było morderstwo.

– No tak, rozumiem – zatroskał się. – Chcesz żebyś poszedł z tobą?

– Nie, nie o to chodzi. Nie możesz iść. Mam przyjść sama, jeszcze byśmy ją spłoszyli – zachnęła się.  
– Chcę tam iść w tajemnicy.

– Niemądre, ale rozumiem.

– Ale wiesz, że tam idę. Gdybym dzisiaj nie wróciła, to prawdopodobnie będę trzecią ofiarą – zażartowała, trochę niezbyt trafnie. Ale roześmiała się. On też, ale jednak dopiero po chwili.

– Gosiaczku, daj spokój.

Nazywał ją tak rzadko. Był szefem i trzymał kilka osób radia za mordę, ale potrafił być też jak ojciec. Twardy jak orzech, ale wypełniony miodem. Idealny szef. Pewnie dlatego bez włosów na głowie, ledwie po trzydziestce.

– Wszystko będzie dobrze – dodał. – Idź. Może zrobisz materiał na Pulitzera – uspokajał.

– Dzięki.

– O której wrócisz?

– Najpóźniej przed siedemnastą. Tak myślę – dodała, mrużąc oko.

– Będę czekał. Mam doborowe towarzystwo – rzekł wskazując faktury.

– W porządku.

– Aaa... o której idziesz?

– Na trzecią.

Odwróciła się i nacisnęła klamkę.

– Gosia?

– Tak?

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł albo ktoś inny?

– Na pewno. Nie chcę z nikim dzielić się tortem.

Podniósł głowę na znak, że rozumie i strzelił palcami wskazując drzwi.

– Idź.

## 12.

Naczelnny spojrział przez żaluzje. Obserwował, jak Gosia zbiega po schodach. Patrzył czujnie, by nie zostać dostrzeżonym, gdyby spojrzała w okno. Znalazłszy się na zabloconym chodniku, natychmiast ruszyła w sobie znanym kierunku. Ubrał się szybko i zbiegł za nią.

Kiedy się pojawiła – myślał – oczarowała go natychmiast. Spełniała wymagania, poza doświadczeniem popartym referencjami. Ale kiedy ją przesłuchał, okazało się, że nadaje się w stu procentach. Miała nieopisany urok, magnetyczne przyciąganie, którego nie potrafił i dotąd nie umie wyjaśnić. Może to był właśnie ten charakterystyczny głos? Może gesty czy sposób, w jaki się

poruszała? Może wszystko na raz, kto wie? Jedno było pewne. Wiedział, że będzie sobie radzić doskonale.

Potem zakochał się. Nagle, bez ostrzeżenia, w tajemnicy, beznadziejnie i głupio. Teraz szedł za nią w bezpiecznej odległości, by nie znikła z oczu. Przesuwał się drugą stroną ulicy, wykorzystując zaparkowane samochody, znaki drogowe, słupy, wejścia do sklepów jako chociażby częściową zasłonę. W każdej chwili był gotów obrócić się, by przeglądać wystawę albo zawiązać sznurówkę. Nie wiedział, dokąd idzie. Wierzył jej. Nie było potrzeby iść za nią, ale z pewnością nie robił tego dla siebie. To było dla jej bezpieczeństwa, a to, że nie wiedziała o swoim ogonie, było tylko dodatkowym atutem. Tak będzie lepiej – myślał. W ten sposób będzie zachowywała się naturalnie i nie spłoszy tajemniczej informatorki.

W każdej chwili mógł ją zgubić, nie miał doświadczenia w śledzeniu. Patrzył, jak smukła postać mijają przejścia dla pieszych i skrzyżowania. Wciąż nie mógł zapomnieć o odrzuceniu jego uczucia. Nie ma żalu, bo przecież do niczego między nimi nie doszło i nie powiedział prawdy, ale igła kłuła w serce za sposób, w jaki to uczyniła. Bezlitośnie, szybko, jak uderzeniem miecza, ucięła łeb nadziejom. Szybko stłamsił tę część siebie, która ją pokochała. Wycofał się. Jej reakcja tamtego dnia zaskoczyła go i do wizerunku Gosi nie pasowała. Była lodowata i bezlitosna. Potem, po czasie zrozumiał,

że zrobiła to pewnie celowo, może nawet wbrew sobie? Tak było łatwiej, a dla niego lepiej. Ale zadra w sercu pozostała. Wszystko by dał, by być z nią.

Dotknął nieświadomie ust i znamienia na policzku. Czy ten ślad po oparzeniu mógł mieć wpływ? Czy blizna miała znaczenie? Przecież inne kobiety, twierdziły, że blizna szybko zniknęła. Że ślad po odprysku oleju z dzieciństwa jest udziałem tylko jego psychiki. Myśląc, obserwował, jak kobieta wchodzi do kawiarni. Po chwili dostrzegł przez okno, jak siada przy stoliku. Zamówiła coś i czekała, podnosząc co kilka chwil filiżankę do ust. Wycelował teleobiektyw w jej kierunku. Migawka mlaśnieła cicho kilka razy.

Po chwili znów podeszła do niej ta sama dziewczyna, kelnerka zapewne. Widział ją za pierwszym razem. Teraz jednak jej coś podała i rozmawiały. Wykonał kolejną serię zdjęć. Nie udało się mu uchwycić, co też kelnerka podała dziennikarce. Oparcie krzesła zasłoniło kadr.

Tymczasem informatorka nadal się nie pojawiała i kiedy, stojąc w bezruchu, w opadzie śniegu z deszczem, naprawdę porządnie zmarzł. Gosia ubrała się i wyszła, co zdziwiło go jeszcze bardziej. Trzykrotnie strzelił Nikonem w Gosię wychodzącą z kawiarni i się schował. Spojrzał jeszcze raz w jej stronę. Z pewnością niczego nie zauważyła. Opad skutecznie ograniczał widoczność. Wilgoć, potęgując przenikliwie zimno, nie

zachęcała, by się rozglądać. Wciąż nie mógł odpędzić natrętnych myśli.

– Czy ja cię jeszcze Kocham, czy mam już na twoim punkcie obsesję? – Szeptał niemal bezgłośnie – to wszystko dla ciebie. Dla twojego bezpieczeństwa.

Gosia nie mogła tego usłyszeć. Za to idąca starszka spojrzała ze smutkiem. Jeszcze jeden uciekający przed samotnością, znerwicowany człowiek, których jest tyle teraz – myślała. Dziś jest tak wielu nieszczęśliwych ludzi.

© Copyright by Aleksander Sowa 2010

Projekt okładki: Aleksander Sowa & Malgorzata Orlik

Fot.: Aleksander Sowa

**ISBN: 978-83-932553-6-8**

Korekta: Marzena Jaguszevska



**Aleksander Sowa**

**Wydawnictwo Autorskie WYDAWCA**

plac Teatralny 8-9/101

45-056 OPOLE

Sprzedaż dystrybucja: [www.wydawca.net](http://www.wydawca.net)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie II, zmienione i poprawione, 2011 r.

**Publikacja przystosowana do czytania na wyświetlaczach nie mniejszych niż 6-calowe.**